

Prenumerata w Polsce: Kwart. bez odn. w miejscu 21.000·— Mk. z przes. 24.900·—Mk. Półrocznie 48000·— Mk. Rocznie 96000·— Mk. Ameryka: 8 dolarów rocznie. Numer pojedynczy 15 centimów.

Ceny ogłoszeń: Od miejsca wiersza milimetrowego jednoszpaltowego na str. ostatniej Mp. 400., od miejsca wiersza milim. jednoszp. w części redakcyjnej Mp 1000.



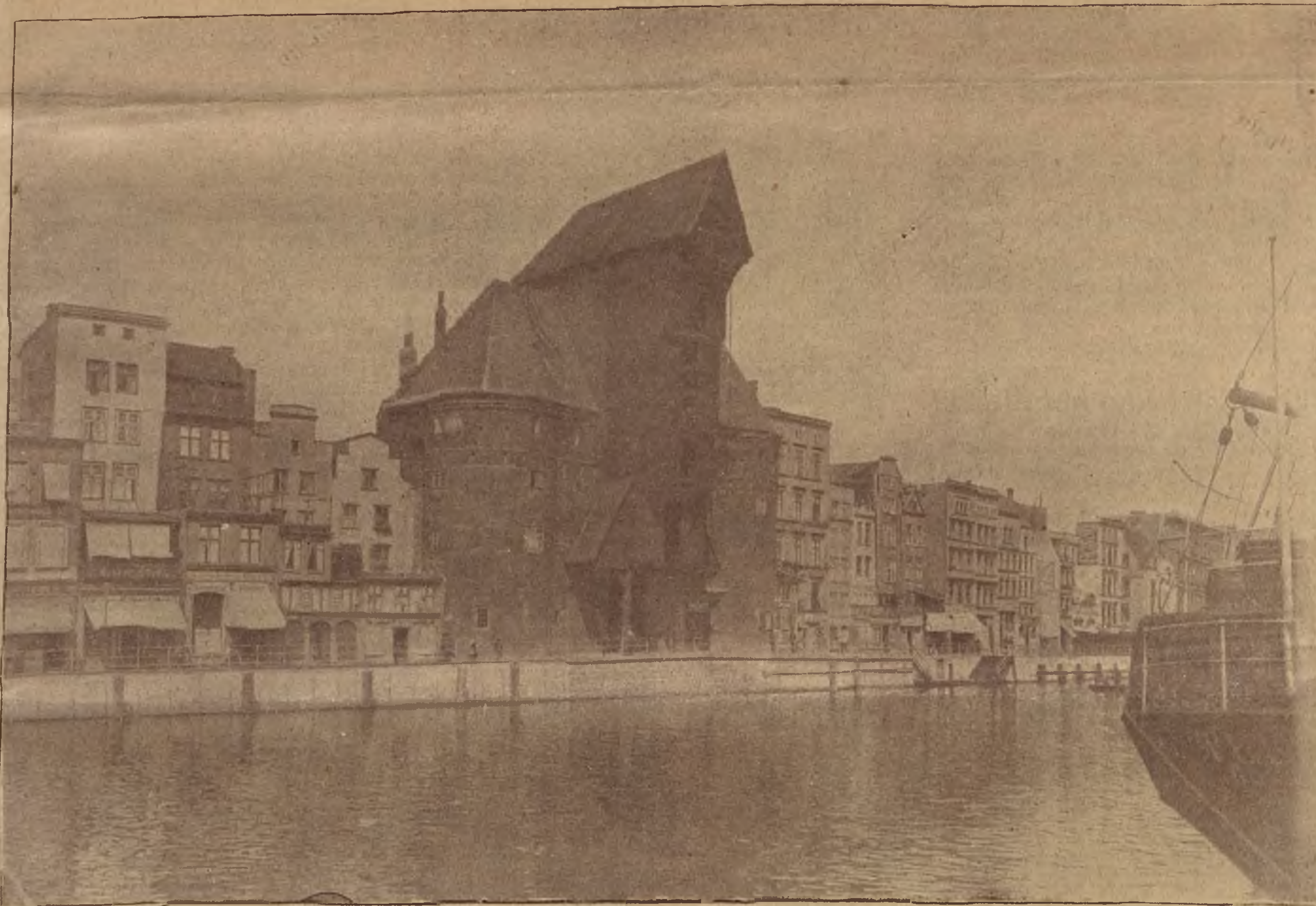
Wychodzi każdej soboty.
REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV. ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).
Telefon Nr. 479.

Redakcja otwarta dla stron od 10 — 12. Rękopisów i fotografji Redakcja nie zwraca

Należytość pocztowa opłacona ryczałtem. Numer pojedynczy 3000 Marek.

Rok XX. Kraków, 21 lipca 1923. Nr. 29.

O dostęp do morza



Z widoków Gdańska: T. zw. „Długi most", i żóraw do wyładowywania okrętów.

TREŚĆ NUMERU: O dostęp do morza — Wielkie misteryum narodowe — Odnowienie Wawelu w piosnce i karykaturze — Wybory tureckie w Konstantynopolu — Losy zdetronizowanego Syna Nieba — Klejnoty Radży (powieść Guy de Terramanda) — Dziwna histoya p. Eversham (opowiadanie H. G. Wellsa) — Kronika tygodniowa — Juliusz Osterwa w Krakowie — Wyścigi cyklistów w Warszawie — Sztuczny piorun — Idylla zwierzęca — 35 lat po maturze — Humor i satyra: artyści w urzędach.



O prawa Polski w Gdańsku: Ogólny widok stoczni gdańskiej (warsztatów budowy okrętów). Warsztaty te, należące dawniej do państwa niemieckiego — prowadzone są obecnie przez międzynarodowe konsorcyum finansowe, w którem i skarb polski ma poważny udział. Na warsztatach widzimy 2 okręty naprawiające swe uszkodzenia.

O dostęp do morza.

Sprawa Gdańska jest jedną z najważniejszych i najbardziej zawikłanych spraw naszej polityki zagranicznej. Gdańsk, który miał być oknem Polski na morze, stał się rękawicą hakaty, zaciskającą się koło naszego gardła i tamującą nam oddech. Polityka gdańskiej hakaty, prowokująca ciągłe spory, rozstrzygane niekorzystnie dla nas przez wysokiego komisarza, zmusiła rząd polski do energicznego wystąpienia wobec Ligi narodów, która Gdańskowi patronuje. Rząd polski zażądał w swej nocie gruntownej rewizyi konwencji polsko-gdańskiej, niekorzystnej dla nas, a narzuconej nam w ciężkich dla Polski chwilach, przywrócenia waloru postanowieniom traktatu wersalskiego i urzeczywistnienia praw Polski do wolnego wyjścia na morze. Wprawdzie żadania noty polskiej nie zostały spełnione. Rewizyi konwencyi, ani usunięcia ingerencyi wysokiego komisarza nie uzyskaliśmy, ale Rada Ligi przypomniała jednak Gdańszczanom o istnieniu traktatu wersalskiego — uznała, że w obecnych warunkach prawa Polski niedość są uwzględniane i zainicjowała nowe rokowania polsko-gdańskie, mające nam dać urzeczywistnienie praw naszych. Rokowania te już się toczą.

Jednocześnie mają się toczyć rokowania o statut Kłajpedy, zajętej przez Litwinów. Mają one i dla nas wielkie znaczenie, bo Kłajpeda jest portem wyjściowym Niemna.

Walka Polski o uzyskanie prawdziwego dostępu do morza trwać będzie aż do ostatecznego urzeczywistnienia praw naszych. W tych prawach ustąpić nie będziemy mogli.

Bo to sprawa naszego życia i rozwoju.



O dostęp do morza: Gdańska latarnia morska na molo (grobli) która na kilometr prawie wybiega w głąb morza. Miała ona rzucać światło i wskazywać drogę polskim okrętom — tymczasem tylko błyska ku nam dotychczas płomieniami nienawiści i wściekłości. Czy rokowania to zmienią?

Wielkie misteryum narodowe.

(„Odprawa posłów greckich")
Jana z Czarnolasu na dziedzińcu wawelskim.

(„Cudze chwalicie — swego nie znacie.
Sami nie wiecie — co posiadacie".)

Brzmiała przed kilku laty prasa europejska, a z nią szpalty polskich dzienników, entuzjazmem nad „Królem Edypem", wystawionym przez Reinhardta w cyrku berlińskim. Głośno jest dziś zagranicą (i u nas też — naturalnie), o przedstawieniach na stopniach katedry w Salzburgu.

To jest wielkie, to jest wspaniałe i to jest sławne — bo to jest obce! Pisze się u nas trochę i o „Odprawie posłów greckich" na Wawelu — owszem — nawet chwali się pomysł i wykonanie, ale nie będą one otoczone takim dymem kadzideł i entuzjazmem — jak „Edyp" w cyrku berlińskim — bo to jest nasze — własne.

Odwieczna wada nasza, grzech prasy polskiej, która istotnie pawięm narodów jest i papugą! — jak to wołał z goryczą Słowacki.

Piszący słowa powyższe był w Berlinie i widział Reinhardtowskiego Edypa, widział misteryum Orfeuszowe w Hellerau pod Drznem, widział też misteryum Salzburgskie. I jednak — choć jest polskim literatem i dziennikarzem — niżej kłoni głowę przed tem, co widział na Wawelu, niż przed zagranicznemi przeżyciami.

Potężny był „Edyp" dzięki grze Aleksandra Moissy'ego, głęboki nastrój miało misteryum w Hellerau i w Salzburgu — ale Wawel nie ustępuje im wcale. Piękniejszego tła architektonicznego i wspanialszej wizyi — wizyi w całem tego słowa znaczeniu — niema zagranica. To nic, że słowa Jana z Czarnolasu brzmiały przed laty trzystu. Tem lepiej. Słuchając ich dzisiaj, czuje się, że brzmią one poprzez stulecia. A inscenizacja, reżyserja i dekoracja stworzyły z tą perspektywą stuleci tak zwartą całość, że wizja stawała się nieodpartą i wszechpotężnie władała tłumem widzów, pogrążonych w cieniu.

Było to prawdziwe misterjum narodowe, godne wszechświatowej sławy;

Dobrze zaiste uczynił i wielką, bardzo wielką ma zasługę kulturalną i narodową dyr. Trzciński, że dawne marzenia Wyspiańskiego podjął i zainicyował wcielenie ich w tak piękny kształt. Jeżeli zaś to było początkiem i prologiem do wielkiego cyklu Dramatu polskiego — to radujmy się w sercach swych i dank mu wdzięczny oddajmy. Pięknie





Wielkie misteryum narodowe:

Scena i dekoracya, na której tle odegraną została „Odprawa posłów greckich". Na pierwszym planie dyr. Trzciński, arch. Mozer i p. Strzelecki z Central European Press Sindicate.

Fragment z 3-ej sceny „Odprawy posłów greckich". — Chór, p. Stara (p. Kosmowska), Helena (p. Pancewiczowa). Z lewej stony dyr. Trzciński.

(Zdjęcia wykonane przez Central European Press Syndicate dla filmu p. t. „Miesiąc podróży po Polsce")



Wielkie misteryum narodowe: Fragment dekoracyi: Na stopniach sceny: rektor Szyszko-Bohusz, dyrektor Trzciński, architekt Mozer i p. St. Wysocka (Kassandra). Zdjęcie „Centr. Europ. Press Synd." z filmu „Miesiąc podróży po Polsce"

uczynił i utrwalił zdobyte już laury rektor Szyszko-Bohusz, który przy współudziale p. arch. Mosera skomponował dekoracyę, tak zharmonizowaną z całością dziedzińca, że nie dekoracją sztuczną się zdała, ale nieodłączną częścią cudnej architektury wawelskiej.

Nie będziemy tu mówić o artystach, nie będziemy nawet mówić o p. Wysockiej, której pojawienie się dreszczem głębokiego wzruszenia przejęło wszystkich słuchaczy — chcemy tylko uczynić jedno — stwierdzić, że miało miejsce w Krakowie zdarzenie o wielkiej dla kultury i sztuki polskiej doniosłości i, że inicyatorowie jego i twórcy dobrze się Sztuce polskiej zasłużyli. *A. S.*

Odnowienie Wawelu
jako temat
w piosenki i karykatury.

Wobec imponujących i zachwycających swą pięknością i poczuciem stylu prac rektora Szyszko-Bohusza nad odnowieniem Królewskiego Zamku na Wawelu — warto wspomnieć o tych niedawnych stosunkowo a tak przebrzmiałych sporach, na temat tego odnowienia. Prof. Szyszko-Bohusz wziął w swe ręce dzieło odbudowy i prowadzi je uparcie, z pietyzmem a energicznie, i wysoka wartość artystyczna tego, czego już dokonał obala wszystkie inne teoretyczne koncepcye i zarzuty. Ale przedtem było inaczej. Nim naprawdę rozpoczęto restauracyę Wawelu wrzał długi i zacięty spór, jak ją prowadzić należy. Powstawały dziesiątki projektów, dziesiątki najsprzeczniejszych, najfantastyczniejszych i najniemożliwszych koncepcyi ścierało się zacięcie ze sobą. Dziś one ucichły, przebrzmiały, ale były one poważnym zagadnieniem w życiu Krakowa i pozostawiły po sobie ślad — w piosence i w karykaturze.

W kawiarni Michalika, czyli w dawnej „Jamie" niezapomnianego „Zielonego Balonika" wisi w wielkiej sali kilka obrazów, które dziś już wielu ludziom wydają się niezrozumiałemi. One to mówią i świadczą o gorącem zainteresowaniu, jakiem otoczona była wawelska sprawa i one w dowcipny, nawet często zjadliwy sposób charakteryzują obozy, które o „Wawel" i styl jego odnowienia spór ze sobą wiodły.

Jedna z pierwszych piosenek uderzała w Magistrat i sławetną Radę miejską Krakowa, które przez swą „opiekę" nad zabytkami krakowskiemi skompromitowały się i ośmieszyły gruntownie w opinii.

Na rysunku przedstawiającym Wawel „odnowiony" według projektów Rady miejskiej Krakowa i według idei Karola hr. Lanckorońskiego, widzimy starą ruderę, sypiącą się w kawały i obrośniętą mchem. Dach zawalony — a na murach i nawet na szczycie wieży rosną drzewa. W ruinach myśliwi polują na wrony. Dookoła zaś setki drągów podpierają walące się mury.

Dorobiona do rysunku tego piosenka tak mówi:

Na Wawel, na Wawel, Krakowiaku żwawy
Podumaj, potęsknij nad pomnikiem sławy,
Dzieje autonomii na ruinach czytaj.
Rady miejskiej czyny ukłonem przywitaj.

Od stu lat pracują komisye, ankiety,
Od stu lat magistrat bierze słone dyety,
Od stu lat protokół rośnie we foljały,
A nasz Wawel dalej sypie się w kawały.

Przemijają lata, niby Wisła biegą,
Już burmistrzem został prawnuk Chylińskiego,
W ankiecie zasiada prawnuk Beringera,
A nasz Wawel dalej drągiem się podpiera.

Kwestya coraz gorsza dla miasta, dla kraju,
Same drągi rocznie milion pożerają,
Lecz co jeden runie, drugi go zastąpi.
Wiedz, Polsko, że Kraków na Wawel nie skąpi!

W końcu, po stu latach, Krakowiaku żwawy,
Wieczysta komisya doszła jądra sprawy.
I zgodnie uchwala: bez względu na straty
Tak odnowić Wawel — jak był przed stu laty!

Toż to poszła radość od wioski do wioski!
Płakał z rozczulenia praprawnuk Muczkowski
Zwłaszcza że uchwała przeszła uroczysta:
Wawel ma być gotów najpóźniej w lat trzysta!

„To postęp rozumny, oto dar niebieski"
Pisał o tem w „Czasie" praprawnuk Starzewski;
A „poczucie stylu", „wstręt do modern sztuczek"
Chwalił ojcom miasta Prokesch — praprawnuczek.

Aż nadszedł dzień wielki: budownicza sztuka
Wysłała na Wawel Hendla-praprawnuka,
Kraj dodał fachową misyę uroczystą
Z marszałkiem, hrabiami, stróżem i dyurnistą.

I na pierwszy ogień uchwalono chórem:
Wbudować na froncie tablicę z marmurem
I wypisać złotem, w pamięć potomności:
„Cześć miastu, co umie czcić skarby przeszłości!".

Drugi rysunek ośmieszał, słusznie czy niesłusznie, budownictwo miejskie. Zrozumie go



Odnowienie Wawelu w piosence i karykaturze: Projekt Rady miasta Krakowa, który polegać miał na tem — by nie odnawiać — lecz konserwować i podpierać. (Obraz Kaz. Sichulskiego z „Jamy Michalikowej").

każdy, kto zna budowle krakowskie, a szczególnie t. zw. „Drobneryon", czyli kawiarnię na plantach z ogromnym imbrykiem, jako godłem na szczycie. Ponieważ „Drobneryon" projektowany



Odnowienie Wawelu w piosence i karykaturze: Karykatury Kazimierza Sichulskiego w kawiarni Michalika ośmieszające styl i pomysły różnych projektodawców lub zawierające temat satyry politycznej. 1) Projekt budownictwa miejskiego. 2) Projekt zakopiański. 3) Projekt socyalistyczny.



Wybory tureckie w Konstantynopolu:

Prezydent Rady miejskiej Konstantynopola Hadżi Efrem bej wygłasza płomienne przemówienie do wyborców. Przed trybuną mówcy wywieszony jest sztandar z napisem tureckim: „Niech żyje Kemal basza!".

Uroczyste przewożenie na wielbłądach urn wyborczych do lokalów wyborczych przed głosowaniem. Każdy wielbłąd dźwiga oprócz urny dziewicę turecką w bieli, z czarczafem (zasłoną) na twarzy. Dziewice te stanowiły eskortę honorową urn.

był przez miejskiego radcę budownictwa, tak popularnego w Krakowie architekta Zawiejskiego (który budował również Stary Teatr na obecnym placu Szczepańskim) więc piosenka uderzyła przedewszyskiem w znany styl budowlany architekta miejskiego. Złośliwą była — to prawda, ale że dowcipu miała w sobie wiele, więc zaatakowany architekt Zawiejski, sam znany zresztą z bystrego i ciętego dowcipu, na posiedzeniach „Zielonego Balonika" pierwszy bił aplauz piosence.

Rysunek, którego reproducyę na drugim miejscu podajemy, przedstawia Wawel odnowiony w stylu „Drobneryonu". — Piosenka zaś śpiewa:

Z secesyjnych ramek
Secesyjny zamek
Lśni pstrokato a bogato
Jak lubi Zawiejski,
Przystawki i murki,
Na filarkach dziurki
Jako umie i rozumie
Architekta miejski.

Wiedeńskie kawiarnie,
Zielone latarnie,
A imbryki-majstersztyki
Lśnią na bastyonie.
Kryją stare szczerby
Kawiarniane herby
Tak że wielu na Wawelu
Jest jak... w Drobneryonie.

Trzeci rysunek był satyrą na badany wówczas przez znakomitego artystę, nieodżałowanego St. Witkiewicza „styl zakopiański". Idee Witkiewicza podjęte były wówczas przez snobizm, naśladowane bezdusznie, propagowane i wprowadzane w modę. O tej modnej wówczas zakopiańszczyźnie śpiewa piosenka:

Hej! nasz baca, baca nasz
Witkiewicza ma on twarz.
Choć to w ludzie budzi hałas
Zamiast zamku, stawia – szałas.

Hej! po halach idzie słuch,
Że pomaga Kovacs-zuch;
Z Witkiewiczem w świętej zgodzie
Na wawelskiej, hej, gospodzie!

Żej! na sozrąb kładzie strop
(Że to Kovacs sielny chłop!)
I na zrąb wali kłonicę,
Okna ci rznie w parzenicę!

Hej! pazdurem kończą dach
Kiej smrek śmigły, aże strach.
Zamiast rynien tkwią łyżniki,
W kształt lelui, hej dymniki.



Los zdetronizowanego „Syna Nieba": J. C. M. zdetronizowany cesarz chiński, Suen-Tong („Syn Nieba").

Hej! ma baca w zamku skład,
Sprzęt góralski tka tam rad:
Kierpce, cuhy, hej, serdaki,
Hej, ciupagi i czerpaki!

Hej! doszedłszy dobrych chwil
Zakopiański „sposób" (styl)
Witkiewicza czy Kovacsa
Godnie zamek przeinacza,
Choć w narodzie bez to hałas.
Hej! miast zamku będzie szałas!

Wreszcie znalazła w piosence wyraz i polityka, a mianowicie ówczesna walka rosnącego w siłę socyalizmu z obozem konserwatywnym — „stańczykowskim". Piosenka ta — która już nic zresztą nie miała wspólnego z walką o styl Wawelu — i była już tylko aktualną, polityczną piosenką satyryczną — brzmiała:

Porządek stary już się wali
Tyranii przyszedł wreszcie zgon,
Bo oto na wawelskiej sali
Ignaca ustawiono tron! (bis)

Dalej więc. dalej więc w nowy gmach
Dmij pieśni, dmij we wszystkie dudy!
Sztandar nasz trzyma straż, głosi wieść,
Kultury nowej cześć —
Że w miejsce stańczykowskiej budy
Lud umiał coś lepszego wznieść!

Zamiast katedry — precz z Puzyną!
Fabryczny komin zdobi gród.
Tam dalej — mykwa; tam, drużyno,
Koszerną rzeźnię stawił lud!
Dalej więc, dalej więc w nowy gmach (itd.)

Precz z stańczykami, precz z królami!
Dość długo stary Wawel gnił,
Wszak króle go stawiali sami
I na nim pierwszy Stańczyk żył!
Dalej więc, dalej więc w nowy gmach itd.

Powyżej podajemy fotografie 4 rysunków ilustrujących te piosenki. Rysował je najznakomitszy dziś karykaturzysta i satyryk pędzla polski — Kazimierz Sichulski. Do dziś wiszą one w „Jamie" Michalikowej i budzą zainteresowanie przybyszów zwiedzających Krakow. Niewielu z nich wie — że rysunki te są dokumentami i pamiątkami sporów i walk, które wypełniały szmat życia naszego grodu — dawnych Aten polskich.



Losy zdetronizowanego „Syna Nieba": Jeden z wielu podworców pałacu cesarskiego. Pałac ten wraz z parkami, dziedzińcami, budynkami i otoczeniem stanowi prawie sam dla siebie całe miasto, zamknięte murem, a noszące nazwę „Miasta niedostępnego". Cudzoziemcy, bowiem mają tam wstęp zakazany.

H. G. WELLS.

DZIWNA HISTORYA
ś. p. PANA ELVESHAMA

Tłumaczył L. Bodeński.

Na taki argument zgodziłem się i poszedłem z nim. Zaprowadził mię do restauracji Blavitskie'go; musiałem iść wolno i przystosować swój krok do niego; przy śniadaniu, jakiego dotąd jeszcze nigdy nie jadłem odparł zręcznie moje zapytania; mogłem mu się wtedy lepiej przypatrzeć. Jego wygolona twarz była chuda i pokryta zmarszczkami, a pokurczone wargi zakrywały garnitur sztucznych zębów; miał rzadkie, siwe włosy trochę zadługie; wydał mi mi się małym, (choć, coprawda prawie wszyscy ludzie wydawali mi się małymi) był wązki w ramionach i przygarbiony. Patrząc na niego mimowoli zauważyłem, że i on mię obserwował wodząc po mnie oczyma, w których przebijał błysk pożądania, począwszy od szerokich bark do opalonych rąk i znów do mej nieco piegowatej twarzy.

— A teraz — rzekł, gdy zapaliliśmy papierosy — muszę panu wyjaśnić, o co mi w tej chwili chodzi. Przedewszystkiem więc muszę powiedzieć, że jestem stary, bardzo stary. — Umilkł na chwilę. — A tak się właśnie zdarza, że mam duży majątek, który wkrótce będę musiał opuścić, a nie posiadam dziecka, któremu mógłbym go zostawić.

Uważając to za śmiały podstęp, postanowiłem mieć się na baczności i nie okazywać, że posiadam pięćset funtów. Rozwodził się dalej nad swoją samotnością i kłopotem, jaki mu sprawia wynalezienie stosownego przeznaczenia dla jego pieniędzy.

— Rozważyłem to i owo, dobroczynność, instytucye i cele naukowe i biblioteki, aż wkońcu doszedłem do takiego przekonania, — tu wlepił oczy w moją twarz — że najlepiej będzie, jeżeli wyszukam jakiegoś młodzieńca, ambitnego, szczerego a ubogiego, zdrowego na ciele i duchu i poprostu uczynię go swoim spadkobiercą, zapiszę mu wszystko, co posiadam. — Powtórzył jeszcze raz — Zapiszę mu wszystko, co posiadam tak, że nagle będzie wolny od wszystkich trosk i od walki, która wykształciła jego współczucie, a stanie się wolny i wpływowy!

Usiłowałem przybrać wygląd bezinteresowny. Z widoczną hipokryzyą spytałem:

— Czy potrzebuje pan mojej pomocy, może moich zawodowych usług, aby znaleść taką osobę?

Uśmiechnął się. Spojrzał na mnie przez dym swego papierosa, roześmiał się z tego spokojnego wyjawienia mego skromnego życzenia.

— Co za karyerę może zrobić taki człowiek! — zawołał — Zazdrość wzbudza we mnie sama myśl o tem, jak ja musiałem zbierać to, co ktoś inny może wydać...

Są jednak naturalnie pewne warunki, pewne ciężary, które na nim będą ciążyły. Musi naprzykład przyjąć moje nazwisko. Nie można przecież brać wszystkiego nie dając nic w zamian za to. Dalej zanim go zaadoptuję, muszę znać wszystkie wypadki jego poprzedniego życia. Musi być zdrowy. Muszę znać jego dziedziczność, rodzaj śmierci rodziców i wreszcie przeprowadzić jak najdokładniejsze badanie jego prywatnych obyczajów...

To zmieniło trochę życzenia, które sobie w duchu już składałem.

— Czy dobrze rozumiem — spytałem — że to ja?...

— Tak — odparł prawie gwałtownie — pan, pan!

Nie odrzekłem ani słowa. Wyobraźnia moja wyprawiała dziki taniec, a wrodzony sceptycyzm okazał się bezsilnym wobec jej porywów. W duchu moim nie było ani krzty wdzięczności; nie wiedziałem tylko, co mam powiedzieć i jak.

— Ale dlaczegóż to właśnie ja? — spytałem wreszcie.

Odparł, iż słyszał o mnie od profesora Haslar'a, jako o młodzieńcu wybitnie silnym i zdrowym, a chciał swój majątek, o ile możności zostawić komuś, kto miał zapewnione silne zdrowie.

Tak odbyło się moje pierwsze spotkanie z małym staruszkiem. Otaczał on się co do swojej osoby tatemniczością; nie chciał mi po dać narazie jeszcze swego nazwiska i kiedy odpowiedziałem na kilka zadanych mi pytań, pożegnał się ze mną w portalu restauracyi Blavitskie'go. Zauważyłem, że płacąc za śniadanie wyciągnął z kieszeni garść złotych pieniędzy. Zaciekawiło mię jego uporczywe nastawanie na zdrowie fizyczne. Stosownie do naszej umowy zabezpieczyłem się tegoż dnia na wielką sumę w Towarzystwie Ubezpieczeń na życie, którego lekarze w ciągu następnego tygodnia dokładnie mię zbadali. Nawet to jednak go nie zadowalniało i żądał uporczywie, abym się dał zbadać sławnemu doktorowi Hendersonowi. Wreszcie w piątek przed Zielonemi Świątkami powziął ostateczną decyzyę. Późno wieczór, prawie o godzinie dziewiątej kazał mię poprosić na dół, odrywając mię od równań chemicznych, nad któremi pracowałem do pierwszego egzaminu naukowego. Stał w sieni pod słabem światłem gazowem, a na jego twarzy igrały fantastyczne cienie. Zdawało mi się, że się bardziej pochylił od czasu mojego ostatniego z nim spotkania i policzki jego nieco się zapadły.

— Wszystko zupełnie zadowalniające, panie Eden — rzekł głosem drżącym ze wzruszenia. — Zupełnie, zupełnie zadowalniające. I tej właśnie nocy, a nie innej musi pan pojechać ze mną na obiad, dla uczczenia adoptacyi. — Tu przerwał mu napad kaszlu. — Nie będzie pan tak czy tak potrzebował długo czekać, z pewnością nie długo — rzekł, obcierając wargi chustką do nosa i chwytając mię za rękę swą długą i kościstą dłonią.

Wyszliśmy na ulicę i przywołaliśmy dorożkę. Pamiętam żywo każdy szczegół tej jazdy — szybki, lekki ruch, żywy kontrast lamp gazowych, naftowych i elektrycznych, tłumy przechodniów, zalegające ulice, wreszcie restauracyę przy ulicy Regenta, gdzie zatrzymaliśmy się i wystawny obiad, który nam tam podano. Onieśmielały mię początkowo ironiczne spojrzenia dobrze ubranych kelnerów na moje ordynarne ubranie i dokuczały mi pestki w oliwkach, ale gdy szampan rozgrzał moją krew, odżyła pewność siebie. Z początku starzec mówił o sobie. Już w dorożce powiedział mi swoje nazwisko; był to Egbert Elvesham, sławny filozof, którego imię znałem w szkole jeszcze jako mały chłopiec. Nie mogłem uwierzyć, aby ten człowiek, którego bystry rozum od tak wczesnych chwil opanował mojego ducha, ta wielka obstrakcja, miał się nagle odkryć moim oczom w tej zgrzybiałej, zwyczajnej postaci. Śmiało można powiedzieć, że każdy młodzieniec, który nagle dostał się w towarzystwo sławnych ludzi, uczuł coś w rodzaju mego rozczarowania. Starzec powiedział mi następnie o przyszłości, jaka się przede mną otwiera, gdy zgaśnie ostatnia iskierka jego życia, o domach, prawach autorskich i lokacie kapitałów; nigdy mi nie przeszło przez myśl, żeby filozofowie mogli mieć taki majątek. Gdy jadłem i piłem, patrzył na mnie z pewną zazdrością.

— Co za żywotność pan posiadasz — zawołał; a potem z westchnieniem (mógłbym bezmała pomyśleć, z westchnieniem ulgi) dodał — Już nie potrwa to długo.

— Prawda — odparłem upojony szampanem — oczekuje mię może dość przyjemna przyszłość i to dzięki panu. Będę miał teraz zaszczyt nosić pańskie nazwisko. Ale pan ma za sobą przeszłość, taką przeszłość, która warta całej mojej przyszłości.

Potrząsnął głową i uśmiechnął się z półsmutnem, jak mi się wydawało, uznaniem dla mojego pochlebczego podziwu.

— Czy rzeczywiście chciałby pan zamienić tę przyszłość? — spytał, a równocześnie kelner przyniósł likiery — czy przyjąłby pan rzeczywiście chętnie na siebie moje lata?

— Razem z tem, czego pan dokonał — odparłem szarmancko.

Znów się uśmiechnął.

— Dwie kminkówki! — polecił kelnerowi, zwracając mą uwagę na niewielką torebkę papierową, którą wyciągnął z kieszeni.

— Ta godzina poobiednia jest godziną drobnych wypadków — rzekł, wskazując na nią. — Oto część mej nieogłoszonej wiedzy.

Otworzył drżącemi, żółtemi palcami torebkę, która zawierała miałki, różowawy proszek.

— Teraz niech pan zgaduje, co to jest! — zawołał — Oto ten „Kümmel", gdy wsypie pan doń odrobinę tego proszku, zmieni się w prawdziwy „Himmel".

Utkwił we mnie swe wielkie, szare oczy z niezgłębionym wyrazem.

Uderzyło mię trochę nieprzyjemnie, że ten wielki uczony zwracał uwagę na smak likierów. Udałem jednak wielkie zajęcie dla tej jego słabostki i to drobne pochlebstwo ujdzie mi, gdy się weźmie pod uwagę, że byłem mocno pijany. Nasypał proszku do obu kieliszków i powstając nagle, wyciągnął z dziwnym, nieoczekiwanym wyrazem powagi swą rękę ku mnie. Uczyniłem to samo; zadźwięczały kieliszki.

— Na rychły spadek! — zawołał, prowadząc swój do ust.

— Nie! przerwałem gwałtownie — nie to.

Wstrzymał kieliszek likieru od ust i utkwił we mnie gorejący wzrok.

— Na jak najdłuższe życie! — zawołałem.

Zawachał się przez chwilę. — „Na jak najdłuższe życie!" — wyrzekł wkońcu z nagłym, urwanym śmiechem. Z oczyma, utwionemi w siebie wychyliliśmy kieliszki. Patrzał mi prosto w oczy i gdy wypiłem napój doznałem dziwnego uczucia. Najpierw w moim mózgu powstał szalony zamęt; zdawało mi się, że czuję fizyczny ruch w czaszce, a przeciągły szum napełnił mi uszy. Nie zwracałem uwagi na smak i zapach trunku, który zapełnił moje usta i gardło. Zawrót głowy, zamęt w mózgu, szum i wir w głowie zdawały się trwać całe wieki. Na progu mojej świadomości pojawiały się i ginęły dziwne, nieokreślone wspomnienia nawpół zapomnianych przedmiotów. Wkońcu mój towarzysz przerwał czar. Z naglem, gwałtownem westchnieniem ulgi postawił kieliszek na stole.

— No, jakże? — spytał.

— Wyśmienity! — odparłem, choć nie czułem jego smaku.

Dostałem zawrotu głowy, formalnego chaosu w mózgu i usiadłem. Potem spostrzeżenia moje stały się tak wyraźne i drobiazgowe, jak gdybym widział wszystko we wklęsłem zwierciedle. Zachowanie staruszka stało się nieco nerwowe i pospieszne. Wyciągnął zegarek i spojrzał nań z wyrazem niecierpliwości.

— Ach! już siedm po jedenastej. A dziś jeszcze muszę być na dworcu Waterloo. Siódma dwadzieścia pięć. Muszę już pana pożegnać.

Poprosił o rachunek i z trudem zaczął wdziewać palto. Usłużni kelnerzy pomogli nam przy ubieraniu. W chwilę później żegnałem się z nim u stopni dorożki. Jeszcze ciągle podlegałem uczuciu drobiazgowo wyraźnego spostrzegania przedmiotów; nie wiem sam, jak to wyrazić! Zdawało mi się, jekbym nie widział, ale czuł wszystko przez odwróconą lornetkę.

— Nie powinienem był dawać panu tego do picia — rzekł, posuwając ręką po czole. To poprostu było tylko lekarstwo. Będzie pan miał jutro głowę, jak rozbitą. Zaraz! Niech pan chwilkę poczeka. Ma pan tutaj!

Podał mi mały, płaski proszek, jak proszek na kaszel.

Niech pan to rozpuści we wodzie i wypije na noc. Ale, proszę dobrze uważać, dopiero przed spaniem. Wytrzeźwi panu głowę i tyle. A teraz jeszcze raz — do widzenia!

Uścisnąłem jego pokurczoną rękę. Zawołał „do widzenia", lecz po jego obwisłych powiekach poznałem, że i on częściowo był pod wpływem tego trunku, przewracającego w głowie. Nagle przypomniał sobie jeszcze coś, sięgnął do kieszeni na piersiach i podał mi drugą paczkę. Był to walec wielkości i kształtu wałka do golenia.

— Byłbym bezmała zapomniał — rzekł. — Niech pan to weźmie, ale proszę nie otwierać, aż przyjdę do pana jutro.

Przedmiot był tak ciężki, że omal go nie upuściłem. „Jazda!" — zawołałem. Uśmiechnął się do mnie przez szybę powozu, gdy woźnica uderzeniem bicza popędził konia.

Pakiet, który otrzymałem, był owinięty w biały papier i zapieczętowany czerwonym lakiem po obu końcach i wzdłuż brzegu.

— Jeśli to nie pieniądze — rzekłem od siebie — to chyba platyna, lub ołów.

Schowałem go ze staranną uwagą do kieszeni i z zamętem w głowie wyruszyłem w powrotną drogę do domu. Szedłem wśród zapóźnionych przechodniów ulicą Regenta, a następnie ciemnemi, bocznemi uliczkami, za Portland Road. Pamiętam bardzo żywo dziwne wrażenia, których doznawałem po drodze.

(Ciąg dalszy nastąpi).

GUY DE TÈRAMOND.

KLEJNOTY RADŻY

CZĘŚĆ PIERWSZA.

ROZDZIAŁ I.

Pensyonat Pani Armelin.

Dnia 19. maja 19.. r. około godziny piątej po południu z jednego z dworców kolei Paryskich jechał w fiakrze podróżny z waliską, umieszczoną obok woźnicy.

Woźnica odgadł w nim przybysza z prowincyi, bo od czasu do czasu z zadowoleniem wskazywał mu końcem bata budowle, koło których przejeżdżali i objaśniał:

— Pałac legii honorowej... Izba deputowanych... Inwalidzi.. Żuaw na moście Alma, którego w czasie ostatniej powodzi całkiem zalała woda.

Podróżny zwracał małą uwagę na te objaśnienia, zdawał się być bardzo zamyślonym.

Wyglądał jeszcze młodo. Mały wąsik blond ocieniał górną wargę. Był wzrostu średniego, szczupły.

Byłby nawet dosyć ładnym chłopcem, o rysach regularnych, gdyby nie czarne okulary na nosie, które nadawały twarzy wyraz zagadkowy, jaki mają wszyscy ci, u których nie widzisię oczu.

Za każdym razem, kiedy woźnica zwracał się ku niemu, dziękował uprzejmie, spoglądał roztargnionym wzrokiem i natychmiast popadał w zadumę. — Bezwątpienia Paryż. który oglądał po raz pierwszy, nie zajmował go wcale.

Po upływie pół godziny, nagle powóz zatrzymał się na rogu ulicy Mozarta i la Cuze przed małym hotelem, tworzącym narożnik.

Był to budynek trzechpiętrowy, dosyć ładny w stylu Ludwika XIII.

Family house.

Przemysł pensyonatów familijnych, który jeszcze kwitnie w dzielnicach Passy i Anteuil, ofiarował z kolei — dla użytku przejezdnych i ten mały dom, zresztą nienadający się do zamieszkania z powodu bliskości Lasku Bulońskiego.

— Panie! — zawołał woźnica. — To tu!

Podróżny wysiadł, poprosił, aby zaczekał chwilę i wszedł do Famili House.

Służąca, mająca na głowie załotny czepeczek koronkowy, jakie noszą dziewczęta angielskie, wyszła naprzeciw niego.

— Czy mógłbym pomówić z właścicielką? — zapytał.

— Tak panie — odrzekła, otwierając drzwi biura — poproszę panią — i spiesznym krokiem wybiegła na schody.

Młody człowiek nie miał nawet czasu przyglądnąć się obrazom, wiszącym na ścianach, meblom aksamitnym, zielonym, gdy pani Annelin weszła.

Była to osoba, której byłoby trudno oznaczyć wiek, ubrana czarno, a siwiejące włosy nadawały jej wygląd pełen godności. Uśmiechając się uprzejmie, zbliżyła się z zapytaniem:

— Czego sobie pan życzy?

— Pani, — odparł młody człowiek — jej pensyonat polecił mi jeden z moich przyjaciół — pan Filibert Thierry de Chartres.

Po raz pierwszy usłyszała to nazwisko, ale nie dała tego poznać, lecz owszem zrobiła minę, jakby go sobie przypominała doskonale.

— Zapewniał on mię, że u pani znajdę znakomitą kuchnię, pokoje czyste i zupełny spokój.

Człowiek, który wyraża się tak pochlebnie o domu, musi być dżentelmenem — to też pani Armelin uczuła sympatyę dla nieznajomego.

— Wszystko tak jest, jak pan mówi — odpowiedziała skromnie.

— Pani! Najważniejszą rzeczą dla mnie jest zupełny spokój... Przybywam do Paryża, aby zasięgnąć rady najlepszego specyalisty od...

Zawahał się chwilę i dodał:

— Od zaburzeń nerwowych, na które od pewnego czasu cierpię i chcę poddać się leczeniu, jakie mi poleci... Widzi zatem szanowna pani, że zupełny spokój jest mi konieczny...

— Znajdzie go pan tutaj. Mój dom słynie z tego. Pan Albert Thierry...

— Filibert.

— Filibert Thierry musiał powiadomić pana, że nie przyjmuję osób hałaśliwych.

Potwierdził skinieniem głowy.

Ten Family House podobał mu się. Właścicielka miała wygląd uczciwej osoby. Przyjaciel go nie zawiódł. Wyobraził sobie, że tu mu będzie dobrze.

— Teraz pragnąłbym poznać warunki.

— Jak długo zamierza pan tu pozostać?

— Nie wiem, w każdym razie dłużej niż miesiąc; gdy rozpocznie się kuracya, nie wiadomo kiedy się skończy.

— Jeżeli pan pozostanie przynajmniej miesiąc — to 10 franków dziennie.

— Czy z winem?

— I z usługą. Trzy razy dziennie posiłek, pierwsze śniadanie podawać panu będą w jego pokoju.. na pierwszym piętrze, o dwóch oknach, z widokiem na ulicę Mozarta... Obok pana mieszka stara dama z Ameryki, która jest osobą spokojną. Na drugim piętrze obecnie pokoje są niezajęte.

— Doskonale — powiedział młody człowiek. — Pójdę zapłacić woźnicę... a pani łaskawa każe zabrać moją walizkę.

Już chwytał za klamkę, ale powrócił jeszcze i zapytał:

— Czy obiady jada się przy osobnych stolikach?

— Nie panie! Jest duży stół w około którego zasiadają pensyonarze. Jest ich teraz zaledwie trzech.

— Pragnąłbym jadać osobno. Jestem bardzo cierpiącym i szmer rozmowy strasznie mię męczy.

— Nie pozbywa się pensyonarza dla tak małej rzeczy, — zatem wyjątkowo będzie pan miał osobny stolik. Jedynie muszę żądać od pana dodatku jednego franka dziennie — dorzuciła bojaźliwie. Gotowa jednak była ustąpić gdyby odmówił

— Dobrze!

I w czasie kiedy właścicielka wołała chłopca aby zabrał walizkę — młody człowiek płacił woźnicę.

— Dziesięć su na piwo — za pokazywanie tylu budowli Paryża! — mruczał po cichu tenże. — W dać z jakich stron przybywa.

W pięć minut później nowy pensyonarz w swoim pokoju układał rzeczy w szafie. Po ukończeniu tej drobnej pracy usiadł w fotelu obok kominka, a zdejmując okulary i kładąc je obok siebie, przymknął oczy i przeciągał się z zadowoleniem.

Nagle zapukano do drzwi.

Szybko na ożył okulary i pospieszył otworzyć. Była to pokojowa z kartą meldunkową, prosząc go, aby ją wypełnił.

Wziął pióro, które mu podała i pewną ręką napisał:

Imię i nazwisko: Lucyan Delorme. Zatrudnienie: Żadne. Przybywa: Z Eu-la-Mouilleste.

W tym czasie pensyonat pani Armelin był niezwykle cichym. Trzy osoby, o których wspominała były w starszym wieku i spokojnego usposobienia.

Najpierw Amerykanka mrs. Tankery, której pokój, jak wiadomo, sąsiadował z pokojem młodego człowieka — wdowa w wieku lat sześćdziesięciu, uprzejma, wesoła, najlepsza w świecie kobieta, która jedynie miała tę wadę śmieszną, że na twarz kładła warstwę różu, nosiła perukę jasno blond i ubierała się w suknie za młode dla niej.

Zamieszkała u pani Armelin, oczekując przybycia syna, który w Chicago likwidował handel świniami i tłuszczem aby módz z nią osiąść na stałe w Paryżu.

Codziennie mrs. Tankery wyjeżdżała powozem do Lasku Bulońskiego, gdy deszcz padał, zwiedzała wystawy, muzea, olbrzymie magazyny. Było u niej manią, aby co wieczór ukazywać się we wspaniałej tualecie. Schodziła więc do sali jadalnej w sukni dekoltowanej i przybranej klejnotami.

Te ostatnie były bardzo piękne i wartościowe: jak rywiera brylantowa, kolczyki z perłami, brosza.

Gdy Amerykanka jest bogatą, lubi pokazywać swe bogactwa.

Napróżno pani Armelin przedkładała jej, aby je zamknęła w kasie wertheimowskiej. Nie słuchała, mimo że w biurze było wydrukowane wielkiemi literami: „Odpowiada się tylko za przedmioty wartościowe złożone u mnie". Pani Tankery żal było rozstać się z klejnotami.

— Czy pani dom nie jest pewnym? — odpowiadała uparcie.

— Nie.. ale...

— A więc dlaczego pani pragnie, abym się pozbyła jedynej mojej przyjemności. Zresztą nie ma obawy, aby mię okradziono, chowam je pod poduszkę.

Drugim gościem był jenerał Gwatemalski Domingo y Lopez — staruszek o cerze oliwkowej, wąsach czarnych jak smoła i o spojrzeniu dzikim.

Dlaczego porzucił swój kraj? Co robił w Paryżu? Pani Armelin nie mogła rozwiązać tej zagadki, mimo że już trzy miesiące u niej mieszkał.

Podobno przybył studyować coś... ale co?... Czy nowe armaty francuskie?... Czy funkcyonowanie mioteł automobilowych?... a może statystykę urodzin?

Było tylko pewnem, że otrzymywał liczną pocztę ze swego dalekiego kraju i wszystkie listy nosiły stampilę gwatemalską.

W czasie obiadu odgrywał delikatnie rolę gospodarza, opowiadał z zadowoleniem swoje wydarzenia, które jak sobie można wyobrazić były liczne i niezwykłe.

W czasie ostatnich rozruchów okrył się sławą

Uwięziłem cztery tysiące mężczyzn, kobiet, i dzieci i dla przykładu kazałem ich rozstrzelać... a ponieważ brakło amunicyi... kazałem przywiązać jednego za drugim, aby jedna kula mogła służyć dla wielu.

— Och! jenerale! — wykrzyknęła Amerykanka drżąc z przerażenia.

— Pani! to prawa wojenne — odpowiedział. — Oko za oko — ząb za ząb! Gdy w czasie rozruchów na czele wojska uderzyłem na nich, to strzelali do nas!.. nie.. nie, żadnej litości... dziesięć tysięcy na raz.

— Ależ jenerale — przerwała łagodnie pani Armelin — przed chwilą powiedział pan cztery tysiące.

— Zapomniałem... było ich tyle! Codziennie się to powtarzało, tak, że nasi obywatele zachwyceni chcieli mię ogłosić prezydentem republiki.. Odmówiłem. Wolałem udać się do Paryża. — Mówiąc to kręcił palcami czarnego wąsa.

Trzecią osobą był emerytowany profesor, przyjaciel lat dziecinnych pani Armelin, u której zamieszkał, a przez którą był uważany raczej jako krewny, niż klient.

Całe dnie spędzał, pracując w swoim pokoju i ukazywał się w sali jadalnej w czasie obiadu, jak gdyby w życiu zajmowały go tylko książki.

Z wyszukaną uprzejmością słuchał opowiadań jenerała i mimo, że sceptycznie zapatrywał się na rewolucye gwatemalskie, nigdy nie zadawał pytań, ani nie zaprzeczał, czem zjednał sobie jego sympatyę.

Zwykłe swe milczenie przerywał tylko, aby pani Tankery wyjaśniać niestrudzenie piękności języka francuzkiego, naucząjąc ją przy tem, jak się ma pozbywać usterek w mowie.

W tej roli odnajdywał utraconą młodość, a jenerał podrażniony odzywał się:

— Ja pragnę poznać tylko wyrażenia wojenne, bum... bum... siedm tysięcy naraz.

— Och! Jenerale! jesteś strasznym — drżąc wołała pani Armelin.

Wieczera kończyła się zawsze o 9 godzinie, następnie zasiadano do wista, w którym brała udział i pani Armelin, a który trwał do 10 tej. Potem rozchodzono się spać, a w pół godziny później Family House pogrążonym był we śnie.

W tak patryarchalnych stosunkach młody człowiek mógł się czuć dobrze. Po skończonej wieczerzy udawał się do swego pokoju, mimo, że pani Armelin chciała mu ustąpić miejsca przy wiście, odmówił, tłómacząc się, że nie zna kart.

— Ma słuszność — potwierdził jenerał — w jego wieku nie znałem również takich zabaw, wygrałem za to trzy bitwy.

— Czy pan wówczas był już jenerałem? — zapytała Amerykanka.

— Tak, pani... w 16 roku wstąpiłem dobrowolnie do wojska... w 17-tym byłem kapitanem... w 18-tym pułkownikiem, a potem zaraz jenerałem.

— Ach! Jak szybko awansują w pańskim kraju!

— To dowodzi, że mało jest odważnych — i mówiąc to, rzucił groźne spojrzenie.

— W każdym razie — dodała pani Armelin, która z wyrazu sądziła ludzi.. — biedny chłopiec musi być chorym. Czy zauważyliście państwo jego ustawiczny smutek? Zapewne martwi się swą chorobą! Taki młody... czyż to nie budzi litości.

Ciekawa, wielokrotnie starała się zręcznie czegoś dowiedzieć. Czy radził się specyalisty? Czy zaczął leczenie? Czy czuje się lepiej?

Zapytany, również zręcznie uchylał się od odpowiedzi, jakby obawiał się powiedzieć w tym przedmiocie coś za wiele. Raz jedyny spóźnił się na obiad, bo doktór badał go dłużej, niż się spodziewał.

Ale co było u niego szczególnem, to czarne okulary, które zdawały się tworzyć nierozdzielną cząstkę z nim. Nigdy ich nie zdejmował, ani rano, ni wieczór, zapewne nosił je także od wieczora do rana — bo chłopiec, który o każdej porze mógł wejść do niego, zawsze je widział na oczach.

Nadawały mu też osobliwy wygląd kwakra lub szotera.

— Śmieszna myśl! tak zasłaniać oczy, gdy się jest młodym - wykrzyknął jenerał gwatemalski.

— Kochany panie Domingo y Lopez — odpowiedziała pani Armelin z uśmiechem — to pańska sława go tak oślepia.

Ten szczegół nie uszedł także uwagi służby Family House i często był przedmiotem ich rozmów.

— Chciałabym jednak wiedzieć, jakie ma oczy, niebieskie, czy czarne — mówiła jedna z pokojówek.

— W każdym razie — odpowiedziała druga — ta, która usługiwała mu przy stole — muszą być bardzo chore. Biedak!... Przedwczoraj, gdy z koszyczkiem podawałam mu chleb i gdy chciał go wziąść, mimowolnie mankietem zaczepił o okulary, które mu spadły z nosa... Gdybyście widzieli, jaki ruch zrobił!... Podniósł się i rękami zaczął bić przed sobą, jakby nagle słońce go oślepiło.

— To dziwak — zaopiniował chłopiec. — Wiecie, pewnego wieczoru, gdy przyniesiono dla niego list... zapukałem do drzwi... a gdy nie otwierał, popchnąłem je... dziwne, nie były zamknięte... I nie zgadniecie co robił? Zasunął firankami łóżko, a wewnątrz świecił sobie dwoma kieszonkowemi lampkami elektrycznemi, które natychmiast zgasił, jak wszedłem... Co myślicie o tem?

ROZDZIAŁ II.

Noc 1-go czerwca 191...

Dwa tygodnie upłynęły, jak Lucyan Delorme był gościem Family House z ulicy Mozarta, kiedy wydarzył się dramat, burzący nagle jego spokój.

Co rano o 9 godzinie Łucja, pokojówka z pierwszego piętra nosiła do Amerykanki dzbanek z gorącą wodą i pierwsze śniadanie, składające się zawsze z herbaty, grzanek i konfitur.

Tym razem jednak napróżno pukała do drzwi, nie dostała żadnej odpowiedzi.

— Pani Tankery śpi jeszcze — wyszeptała. Zeszła do oficyny i oczekiwała głosu dzwonka, który wkrótce mógł ją zawołać.

Wybiła dziesiąta... potem jedenasta...

Dziwne — myślała pokojówka — pani Tankery jeszcze się nie obudziła.

Poszła i na nowo zapukała silniej.

Ta sama cisza.

Zaniepokojona tem, zawiadomiła panią Armelin.

Ta z kolei również się zadziwiła.

Amerykanka wstawała wczas — nigdy nie zdarzało się, aby spała tak długo.

Poszła z Łucyą i znów zaczęły pukać, ale bezskutecznie. Nagle ukazał się jenerał gwatemalski. Co rano, jak zwykle, udawał się na przechadzkę koło jezior. W kilku słowach opowiedziano mu, co się stało.

— Nie trzeba czekać dłużej — powiedział. — Mrs. Tankery może zachorowała. Posłać po ślusarza.

Łucja już miała iść, gdy jenerał przycisnął klamkę — drzwi się otwarły, bo nie były zamknięte.

Wówczas straszny obraz przedstawił się ich oczom, na widok którego krzyknęli z przerażenia.

Na środku pokoju leżała Amerynka w kałuży krwi.

— Ach! Mój Boże! — wykrzyknął jenerał i zrobiło mu się słabo.

Jednakże pani Armelin nie straciła przytomności i gdy Łucja zbliżyła się do trupa, zawołała:

— Nie ruszaj nic! zawołaj policye, komisaryat jest na placu Passy. — A kiedy pokojówka oddaliła się, wyszeptała:

— Taki wypadek w moim domu!

W ćwierć godziny później policya przybyła, dano rozkaz zamknięcia bramy hotelu, aby nikt z niego nie wyszedł.

Z pierwszego wejrzenia można było wnioskować, że kradzież była przyczyną mordu.

Szafa, sekretarz komoda, były otwarte, bielizna i drobne przedmioty rozrzucone leżały na ziemi. Zbrodniarze przedewszystkiem zabrali klejnoty nieszczęśliwej Amerykanki, od sukni wieczorowej odcięli stare koronki, zabrali nawet cacka, które kupiła już w Paryżu.

— Biedna kobieta — wyszeptała pani Armelin — przestrzegałam ją, że nieroztropnie mieć przy sobie tyle rzeczy tak kosztownych.

W tej chwili przybył naczelnik policyi pan Clamart z lekarzem, pan Bertilon z pomocnikami, którzy mieli zbadać ślady, pozostawione przez nędzników.

Zbrodnia została spełniona przez zawodowych złoczyńców — orzekła policya — wszystko naprzód ułożono. Amerykanka spała silnie, gdy zbrodniarze z pola dostali się, szybę wycięto dyamentem, z łatwością więc otwarto okno, którem weszli do pokoju.

Bez wachania rzucili się w stronę łóżka, wiedzieli dobrze gdzie stało i jeden z nich pewną ręką, uzbrojoną sztyletem, zadał cios, mierząc w główną arteryę szyji, tak, że nieszczęsna nie mogła nawet wydać krzyku, krew obficie zbroczyła pościel. Czy ofiara mordu zrobiła parę kroków i padła na środku pokoju? Czy też zbrodniarze położyli trupa na ziemi, aby łatwiej przeszukać pościel. Niewiadomo.

W czasie, kiedy komisarz badał na zewnątrz ślady, którędy dostali się zbrodniarze, aż do okna pani Tankery, naczelnik policyi w biurze hotelu przesłuchiwał służbę pani Armelin.

Nie mogli dać żadnych wskazówek użytecznych — mieszkali na dole — pokoje sąsiadowały z pralnią i kuchnią. Poszli spać jak zwykle o 11 godz., nie słyszeli nic podejrzanego.

Zresztą byli to ludzie zaufani, od dłuższego czasu w służbie właścicielki Family House.

Zaraz też odsunięto myśl, że mogli brać udział w zbrodni.

Widocznem było, że morderstwo spełnione zostało przez niegodziwców, ustawicznie śledzących obcych przybyszów, aby ich później obrabować.

Ale kto?

Pani Tankery od swego przyjazdu do Paryża nie przyjmowała nikogo, z nikim nie zawarła znajomości, nawet nikomu nie oddawała wizyt: każde popołudnie spędzała w Lasku Bulońskim, albo w wielkich magazynach.

Woźnica, który ją woził, był bardzo uczciwym człowiekiem, będący już dwadzieścia pięć lat w służbie u swego chlebodawcy i niepodobieństwem było przypuścić, że w tej zbrodni odegrał jaką rolę.

— Przejdźmy teraz do pani pensyonarzy — powiedział naczelnik, zwracając się do pani Armelin, gdy powrócili do biura. — Ilu ich pani ma?

— Zostaje mi trzech — odpowiedziała — jak wykazuje książka meldunkowa. Najpierw pan Domingo y Lopez... a gdy naczelnik pytał ją wzrokiem, dorzuciła.. jenerał gwatemalski... od sześciu miesięcy w Paryżu... fanfaron... gaduła... ale w istocie bardzo zacny człowiek.... i jestem pewną, że nie jest zdolnym do popełnienia najmniejszej zbrodni... Był w chwili, gdy znaleźliśmy trupa pani Tankery.. zrobiło mu się nawet nie dobrze ze wzruszenia.

— A dalej?

— Przyjaciel młodości... starzec... którego wiek odsuwa wszelkie podejrzenia... Od trzech lat jest moim pensyonarzem i odpowiadam za niego, jak za siebie.

— Dobrze. A trzeci?

— Jest to młody człowiek... Pan Delorme jest u mnie od dwóch tygodni.

— Ach! — wykrzyknął nagle zainteresowany naczelnik — z kąd przybył ten młody człowiek?

— Z prowincji... zdaje mi się z En...

— W jakim celu?

— Aby poddać się leczeniu specjalisty choroby nerwowej, na którą cierpi, jak mi mówił.

— Jakie wrażenie zrobił na pani?

Jak najlepsze... uprzejmy ze wszystkimi... prowadzi życie regularne... jedynie jest trochę dziki... trzymał się od nas z daleka.

— Czy pani nie zauważyła u niego czegoś szczególnego?

— Nie... jedynie nie zdejmował nigdy swych czarnych okularów.

— Czy to panią nie dziwiło wcale?

— Nie... myślałam, że cierpi na oazy... Mój nieboszczyk ojciec przez dziesięć lat ostatnich swego życia, również nie zdejmował okularów z tych samych powodów.

— Gdzie sypiał?

— Obok mej biednej klientki.

— Ach!... Czy to on prosił panią o ten pokój?

— Prosił mię jedynie o taki gdzieby mógł być spokojnym... był to pokój, który odpowiadał jego życzeniu.

Naczelnik pozostał chwilę milczący, zamyślony. Po chwili zaczął znów:

— Proszę pani przypomnieć sobie dobrze czy od chwili, gdy ten młody człowiek jest jej pensyonaryuszem nic zgoła nie zwróciło uwagi pani?

— Doprawdy, że nic... ale niech pan poczeka.. to rzecz tak małej wagi...

— Proszę powiedzieć, każdy najdrobniejszy szczegół może się przydać.

— Gdy przybył, wymienił nazwisko osoby, która mu poleciła mój hotel, a które było mi nieznane... Pan Therry czy Thierry de Chartres... Zrobiłam naturalnie minę jakbym znała tę osobę... ale mimo wszystkiego możliwe, że ten pan tu mieszkał. Od dwudziestu kilku lat mam pensyonat, więc trudno przypomnieć sobie nazwiska pensyonarzy, którzy przez ten czas przesunęli się... Chociaż jednak — dorzuciła półgłosem jakby chcąc się usprawiedliwić przed samą sobą — pamięć miałam tak dobrą.

— Widzi pani! Chciał pozyskać jej zaufanie, aby mu nie odmówić mieszkania.

— Jakże mogłam to wszystko odgadnąć! — westchnęła.

— A teraz w jakich stosunkach był z panią Tankery?

— Zdaje mi się, że z nią nawet nigdy nie mówił. Raz chciałam go jej przedstawić, ale odmówił, mówiąc, że nie ma zamiaru zawierać znajomości z tą „starą karykaturą", a nawet dorzucił, że podobne obwieszanie się klejnotami jest śmiesznie i może się przyczynić do jej zamordowania.

— Nie trudno mu było okazać się tak dobrym prorokiem... a zatem proszę pani poprosić pana Delorme, aby ze mną pomówił chwilę.

— To niemożliwe.

— Dlaczego?

— Wyszedł.

Naczelnik bezpieczeństwa zerwał się z siedzenia.

— Wyszedł? O której godzinie?

— Nie wiem — już go nie było w pokoju, gdy chłopak przyniósł mu pierwsze śniadanie...

— W ten sposób bardzo możliwe, że mógł wyjść i w nocy?

— Zapewne.

— Przypuszczam, że nie był przyzwyczajonym do wyjść tak wczesnych.

— W istocie pierwszy raz...

W tej chwili wszedł komisarz policyjny, a pani Armelin wyszła zmartwiona.

— Czy znalazł pan co? — zapytał naczelnik.

— Znaleźliśmy wzdłuż muru świeże zdrapania, które zdają się potwierdzać przypuszczenie, że zbrodniarze weszli przez okno zapomocą powroza...

— Rzuconego z wewnątrz przez wspólnika... wspólnika, który nie może być innym jak tylko pensyonaryusz Family House... nawet sąsiad ofiary... Śledztwo już daleko postąpiło — nieprawdaż panie komisarzu?

— Całe uznanie należy się panu naczelnikowi...

— Ale... czy zauważył pan jakie ostrożności zachowują najzręczniejsi zbrodniaze — rzadko aby zostawili cośkolwiek, coby ich mogło zdradzić.

I zaczął szybko opowiadać, jakie wyciągnął wnioski z badania pani Armelin.

Dla niego nie było żadnej wątpliwości, że zbrodnia wykonaną została w ten sposób: jakiś człowiek pod zmienionym nazwiskiem przybywa z fałszywem poleceniem do Family House, gdzie mieszka starsza pani, posiadająca wartościowe klejnoty; o czem ktoś go pierwej powiadomił. Stara się zmienić swe rysy zapomocą czarnych okularów, unika rozmowy z każdą osobą, aby mu się nie wymknęło jakieś niepotrzebne słowo — przez dwa tygodnie — bada wolnym czasem miejsca i zwyczaje ofiary, potem pewny swego czynu, nocą wprowadza swego wspólnika i oto dzieło dokonane.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Kronika tygodniowa.

Pokazuje się, że człowiekowi nigdy i niczem nie dogodzi! Jeszcze dwa tygodnie temu wstecz narzekali wszyscy, co to za lato bez gorąca i zazdrościli Amerykanom, waryującym z powodu upałów, prosząc Opatrzność, aby łaskawszem spojrzała na nas okiem i pozwoliła i nam także zakosztować letnich przyjemności, bodajby tylko familijnych kąpieli w srebrnej Wisełce na plaży za Klasztorem Zwierzynieckim.

A gdy Pan Bóg wysłuchał, a termometr podniósł się nagle o kilkanaście stopni, zaczęli poczciwi Krakowianie stękać, że im za gorąco, do kąpieli za daleko, a przedewszystkiem, że niema czem gasić pragnienia, bo magistrat nawołuje do oszczędzania wody, a butelczyna piwa, choć nóg nie posiada, podskoczyła na pięć „lisów“ i to jeszcze z ogonkiem. Smażąc się w dusznym pokoju z upału, ten i ów wzdycha do chłodniejszej nieco aury, spoglądając tęsknym wzrokiem na firmament niebieski, czy przypadkiem nie gromadzą się na nim chmury, zapowiadające deszcz, mający odświeżyć powietrze i zastąpić miejskie „Palugaye“. Ale, o ile spragniony każdy jest dżdżu, o tyle zdrowy rozsądek powiada mu, aby o niego zbyt natarczywie nie prosił, bo nuż otworzą się upusty niebieskie i lunie jak z cebra, a deszcz w tej porze lubi się nieco przeciągnąć i najspokojniej kapie sobie całymi tygodniami, nic sobie nie robiąc z przepowiedni, zamieszczonych w kalendarzu stuletnim. Taki zaś deszcz byłby katastrofą, gdyż właśnie zabieramy się do rozpoczęcia żniw, spóźnionych nieco z powodu chłodów wiosennych. Jak nas zapewniają, tegoroczne zbiory zapowiadają się zupełnie pomyślnie, inne konjuktury tak się złożyły, iż komisya cennikowa musi uwzględnić żądania podwyżki cen, przedłożonej przez piekarzy, umiejących przedstawić w należytem oświetleniu swe położenie bez wyjścia, a raczej z jedynem wyjściem, to jest z podwyżką ceny. Wybierając zaś z dwojga złego, lepiej jest mieć pieczywo, bodajby nawet bardzo drogie, niż musieć się obchodzić bez niego.

Było zatem źle, gdy było zimno, jest źle, gdy zapanowały gorąca, będzie źle, gdyby nastała pora deszczów, czyli, że człowiekowi niczem nie dogodzi i zawsze wzdycha do tego, czego nie ma.

Narazie z powodu gwałtownych fal upałów, jakie nas nawiedziły, kto może zmyka z miasta na świeże powietrze, zdrojowiska i uzdrowiska zaroiły się od letników, a lekarze, hotelarze, restauratorzy itd. zacierają ręce i podnoszą szybko ceny, aby sobie odbić niepowodzenia z czerwca, kiedy się zanosiło, że zakłady ich będą świecić pustkami. Każdy letnik spieszy się z wyjazdem, bo od 1 sierpnia taryfa osobowa na naszych kolejach podwyższy się znowu o trzydzieści trzy procent, a towarowa o sto, trzeba zatem skorzystać ze sposobności, by bodajby na miejsce wakacyjnych wywczasów dojechać taniej.

Gdyby warunki były więcej normalne, główny „ciąg“ letników skierowałby się niezawodnie nad Bałtyk, aby w ten sposób objąć w faktyczne posiadanie ów skrawek wybrzeża morskiego, przyznany nam przez Koalicyę. Ale u ujścia Wisły rozsiadł się Gdańsk który z woli naszych przyjaciół ma za zadanie robić nam na złość i obdzierać nas ze skóry, prawdopodobnie dla tego, aby nam się przypadkiem w głowie nie przewróciło i nie zdawało Polakom, że mogą sobie rościć pretensye do pierwszorzędnego w Europie stanowiska, gdy przyjacioły nie radzi nas tam widzieć. Gdańszczanie, uważając się ciągle za przynależnych do Berlina, powiedzieli sobie, że na stosunku z Polską powinni zrobić dobry interes, żądają też od nas wszelkiego rodzaju świadczeń, nic w zamian nie dając krom przykrości. Zagwarantowana Polsce traktatem wersalskim wspólność interesów w porcie gdańskim jest na razie jedynie postanowieniem na papierze, Polaków traktuje się w Gdańsku jako uciążliwie obcych przybyszów, nie mających prawa zabierania głosu, a skazanych na kontentowanie się tem, co im spadnie z łaski pańskiej. Pozatem są siedztwo Gdańska oddziaływa fatalnie na nasz handel, przemysł i walutę, panosząc gdańskich dorobkiewiczów, uważający się za powołanych do tego, aby nam dyktować swe żądania, a „wysoki komisarz“, mający za zadanie przestrzeganie postanowień traktatowych, dotąd szedł im na rękę i aprobował wszystkie zarządzenia senatu gdańskiego, nieraz aż zbyt jaskrawo odbiegające od woli tych, którzy byli twórcami „wolnego miasta“.

W takich warunkach musiało przyjść do scysyi między Polską a Gdańskiem, opinii polskiej dał wyraz prezydent Wojciechowski w czasie swej podróży po Pomorzu, społeczeństwo polskie postanowiło zgodnie bojkotować nieuprzejmych sąsiadów także i w sezonie wakacyjnym, kiedy zwykle tłumy ciągnęły nad Bałtyk, a miejscowość kąpielowa Sopoty, leżąca na terytoryum wolnego miasta główną część swych dochodów czerpała od polskich kuracyuszów i wycieczkowców.

Mamy wprawdzie nadające się do letniego pobytu własne skrawki wybrzeża, nie posiadają one jednak tego rodzaju urządzeń, do jakich przyzwyczajeni są letnicy i to zraża wielu, którzy mieliby ochotę wykąpać się w polskiem morzu. W Gdyni i na Heli jest dosyć letników z całej Polski, nie brak ich i z Krakowa, liczba ich jednak nie jest tak pokaźną, jak należałoby sobie tego życzyć. Mieszkańcy Pomorza i Kongresówki mając ułatwiony dostęp w granice Małopolski, a dawnej Galicyi, powinni korzystać ze sposobności i zwiedzić nasze Podkarpacie, dla nas natomiast, znających je aż nazbyt dobrze, otwiera się droga na północ, ku owemu „oknu“ na świat szeroki, w niedalekiej przyszłości mającemu się zamienić i na „drzwi“, ułatwiające stosunek nasz z resztą cywilizowanego świata.

Szalona drożyzna wpływa również ujemnie na ruch turystyczny, ale, choć ciężkie czasy, znalazłoby się dość takich, którzy chętnie spróbowaliby szczęścia w Sopotach, dokąd ciągnie ich nie tyle świeże powietrze i bliskość morza, ile tamtejsze Kasyno, skromnie się wprawdzie nazywające, ale będące siedzibą światowej szulerni, obliczonej na wyzyskiwanie łatwowiernych. Niejedna duszyczka radaby pofrunęła do sopockiego raju, nic sobie nie robiąc z drożyzny i nieporozumień politycznych, wstrzymuje ją jednak obawa, by jej potem nie wytykano palcami i nie nazywano zdrajcą sprawy narodowej.

Niemcy mogą powiedzieć to o sobie, że mają szczęście do ludzi, bo też w samej rzeczy nikt nie potrafi tak łatwo zrazić do siebie bliźniego, jak butny syn Germanii. Gdy byli *in floribus* uważali się za pierwszą narodowość na świecie, gdy ich w 1918 r. położone na obie łopatki nie zmienili bynajmniej zdania i nie stracili nadziei że jeszcze przyjdzie czas, iż będą dyktować swą wolę, jeśli nie całemu światu, to bodaj Europie. W tym duchu postępują ciągle, trzeba przyznać systematycznie i konsekwentnie spotykając się wszędzie z zupełnie otwartą niechęcią, nawet wśród wspólników, z którymi wiążą ich nici interesów.

Jak zaś wychodzą na swojej polityce, o tem przekonują się sami na własnej swej skórze, dziś każdy, kto niema ważnego interesu, omija Niemcy, jak zapowietrzone co odbija się bardzo boleśnie na ich handlu i przemyśle. Przed kilku tygodniami odbył się w Berlinie wielki wiec wszystkich sfer zainteresowanych, a na nim wywodzono prawdziwie gorzkie żale, że Niemcy, a przedewszystkiem Berlin bojkotuje zagranica, a wina tego spada głównie na rząd Rzeszy i magistrat berliński, które wezwano bardzo stanowczo do przedsięwzięcia natychmiastowych środków zaradczych. W zgodnym chórze połączyli się berlińscy kupcy, przemysłowcy, hotelarze, lekarze itd., wykazując na podstawie urzędowych danych, że przyczyną katastrofy stały się szykany placówek konsularnych niemieckich za granicą, odmawiających z zasady wizy na wjazd w granice państwa niemieckiego, a dozwalających jedynie tym jednostkom, które się mogą wykazać, iż mają tam bardzo ważny interes przemysłowy lub handlowy do załatwienia. Chcący szukać w niemieckich zdrojowiskach ratunku, pozwolenia na przyjazd nie otrzymują, a przedewszystkiem Amerykanie odwiedzali je dawniej bardzo licznie i zostawiali tutaj sporo dolarów. Dziś fala ich zatrzymała się we Francyi, gdzie spotykają się z daleko życzliwszem, niż w Niemczech, przyjęciem, i to najbardziej boli serce niemieckie, czułe zwłaszcza tam, gdzie rozchodzi się o interes.

Polityka rządu niemieckiego, mająca na celu utrudnienie obcym wjazdu w granice Rzeszy, była może uzasadnioną, ale równocześnie i bardzo krótkowzroczną. Zarządzenia utrudniające przyjazd do Niemiec wydane w tym czasie, gdy położenie ekonomiczne wewnątrz kraju stawało się coraz groźniejsze, podyktowała je obawa, że liczny napływ cudzoziemców katastrofę jeszcze bardziej zwiększy, jednym słowem, że obcy, rozporządzający silniejszą walutą, przybędą tam tylko po to, aby ich ogołocić z jedzenia i napitku, zatem wygłodzić i przyczynić się do wzmożenia drożyzny. Drożyzny to nie wstrzymało, cudzoziemców zraziło zaś na długie lata

Przy tej sposobności przypomnieli sobie zwłaszcza Amerykanie ze Stanów Zjednoczonych, którzy dawniej tak chętnie odwiedzali Niemcy, zwożąc im dolary, jacy to oni byli naiwni i jak pozwalali się traktować pruskim urzędnikom, obchodzącym się z każdym cudzoziemcem, jak ze zbrodniarzem. Dziś wspominają oni to i przestrzegają swoich rodaków przed wyjazdem do Niemiec, gdzie obcego przybysza czekają jedynie szykany i kłopoty.

Do zmniejszenia ochoty odwiedzenia Berlina przyczynił się także ogromnie wysoki podatek od obcych, ściągany przez tamtejszy magistrat w wysokości ośmdziesiąt procent od przedłożonego gościowi rachunku Jeśli zatem taką lwią część zabiera dla siebie gmina, jak wysokie muszą być ceny, aby pozostałe dwadzieścia procent mogły pokryć wydatki hotelarza i dać mu uczciwy zarobek. To też nie można się dziwić, że w Berlinie różniczkuje się przejezdnych i za jeden i ten sam pokój podróżny krajowiec płaci trzydzieści tysięcy marek dziennie cudzoziemiec zaś ośmdziesiąt tysięcy.

Zdrojowiska i uzdrowiska niemieckie świecą pustkami, kupcy i przemysłowcy narzekają na swą dolę i wzdychają do dawnych czasów kiedy to pod błogosławionymi rządami Hohenzollernów każdy prawy obywatel „państwa bojaźni Bożej i dobrych obyczajów“ robił doskonałe interesy.

Rozumiejące swój interes miasta niemieckie, chcąc skierować do siebie falę obcych turystów, zredukowały znacznie lub zniosły zupełnie ów podatek od obcych, ale i to nie na wiele się zdało. Niemieckie kosulaty nie pozwalają na przyjazd do Niemiec także i młodzieży zagranicznej, która dawniej ściągała tutaj prawie z całego świata na studya, roznosząc potem szeroko i daleko sławę tego kraju

Zniechęcili do siebie Niemcy także świat cały swem kokietowaniem bolszewików oraz obłudną polityką wobec swych zwycięzców, przedewszystkiem Francyi i Belgii. Dopóki Lloyd George stał na czele rządu angielskiego, akcye niemieckie szły ciągle w górę, a między Berlinem a Londynem panowała tak miła zgoda, jak między najserdeczniejszymi aliantami, nie zaś zwycięzcą i zwyciężonym. To Niemcy rozzuchwaliło i skłoniło do ciągłego wyłgiwania się od spełniania przyjętych na się zobowiązań traktatu wersalskiego.

I tej to właśnie przyjaźni niemiecko angielskiej mamy my Polacy do zawdzięczenia te anormalne stosunki, jakie panują między Polską a Gdańskiem na punkcie swobodnego dostępu do morza i używania tamtejszych portowych urządzeń, co nam przyznał zupełnie niedwuznacznie traktat wersalski. Ale traktat, to tylko kawałek papieru który można schować do archiwum, niech sobie tam odpoczywa, a pan Sahm może sobie rządzić, jak mu się podoba i dyktować prawa, nic z traktatem wspólnego nie mające, zwłaszcza jeśli jest pewnym poparcia „wysokiego komisarza“, aprobującego wszystkie zarządzenia gdańskiego senatu.

To właśnie skłoniło rząd polski do przedłożenia Lidze Narodów stosunku swojego do Gdańska, ustawicznych szykan, spotykających go ze strony gdańskiego senatu i iście salomonowych wyroków każdego wysokiego komisarza (stanowisko to, rzecz dziwna, jak gdyby zastrzeżone było dla Anglików i to tylko zwolenników polityki Lloyda Georgea!..), rozstrzygającego z zasady wszystko i to bez odwołania na korzyść wolnego miasta. Obecny rząd polski, gdy wszelkie próby porozumienia spełzły na niczem, widział się zmuszony skierować sprawę przed forum Ligi Narodów i, o dziwo, choć zasiadają tam tacy znawcy stosunków światowych, dla których wszystko jedno „Silesia“, czy „Cylicya“, doczekał się pomyślnego dla siebie rozstrzygnięcia, nakazującego Gdańskowi przestrzeganie traktatu wersalskiego, a panu „wysokiemu komisarzowi“ przypominającego, że nie jest afrykańskim kacykiem, rządzącym wedle swego widzimisię, lecz wykonawcą woli Ligi Narodów i dlatego w każdej wątpliwej sprawie powinien zasięgać jej opinii.



Juliusz Osterwa.

Juliusz Osterwa w Krakowie.

Kraków „zbagatelizowany“ rzadko ma sposobność goszczenia u siebie tych aktorów-artystów, którzy w sztuce scenicznej prawdziwie twórczą rolę odgrywają. Toteż występy J. Osterwy i W. Osterwiny w teatrze im. J. Słowackiego są dla Krakowa i przybywających w odwiedziny Małopolan, którzy do Warszawy nie docierają, prawdziwą ucztą. Działalność J. Osterwy, dziś jednego z największych polskich artystów i twórców-reżyserów jest ściśle związana z Krakowem. Pomijając już bowiem, że Osterwa jest Krakowianinem, pamiętać należy, że Osterwa tu w Krakowie stawiał pierwsze swe kroki w Teatrze Ludowym w r. 1904. za dyrekcyi Solskiego rozwijał swój talent na deskach teatru im. Słowackiego, stąd wyszedł na wędrówkę poprzez Poznań, Wilno, Warszawę, Kijów i Moskwę. To też po 19-tu latach pobytu na scenie, śmiało o sobie powiedzieć może, że były to lata pracy rzetelnej, pełnej zaparcia się, często nierozumianej, może nawet wyśmiewanej, lata szukania drogi własnej, co więcej odnalezienia tejże drogi, na której praca podała rękę talentowi, prostota artystyczna — intuicyi. Początki tej pracy datują się od czasów, kiedy pojawiły się prądy z Zachodu płynące, a dążące do wytworzenia czegoś pośredniego pomiędzy sztuką podobającą się ogółowi, a sztuką poufną, swobodną, kameralną. W Niemczech ruch ten był kolebką teatru Reinhardta (Kleines Teater), w Polsce — niestety — było to jeszcze za wczesne, a ruch cały ograniczył się tylko do stworzenia „Zielonego balonika“, w którym Osterwa pracował wspólnie z Boyem, Trzcińskim, Fryczem.

Po latach dopiero udało się Osterwie marzenia swoje zrealizować, kiedy stworzoną została „Reduta“, która nietylko idzie na przodzie teatrów polskich, ale śmiało konkurować może z teatrami zagranicznymi. Zasługą jest tedy Osterwy, iż zdołał przy swym talencie, pracy i rozmachu artystycznym stworzyć teatr, który pozbył się dotychczas przyjętego w Polsce oblicza międzynarodowego i ukazał oblicze: polskie. „Reduta“ jest bowiem nietylko szkołą dla aktora, ale szkołą a nawet przytułkiem dla autora najmłodszego, który przy zimnej niechęci prawie wszystkich kierowników teatralnych zawsze dotychczas był po macoszemu traktowany.

P. Wanda Osterwina, żona i współpracowniczka dyrektora Reduty, — jest bardzo mało znaną w Krakowie. Tem bardziej więc godną poznania. Jest to artystka-kobieta, kobieta w każdym calu, a przedewszystkiem pod względem niezwykłej i subtelnej intuicyi, i lekkiej, zwiewnej jak kwiat, stylizacyi. Jako Feniksana w „Księciu Niezłomnym“ Słowackiego — p. Osterwina była poprostu wcieleniem tęczowych i zwiewnych marzeń poety. Dzięki niej dopiero poznało się te postacie królewien z Bajki, postacie z marzeń fantastycznych Słowackiego, które są syntezą muzyki i linii fantastycznej i rozmarzonych drżeń serca.



Wanda Osterwina.

Na występy gościnne wybrała para Gości „Lekkoducha“ Szaniawskiego i „Fircyka w zalotach“ Zabłockiego. Jakkolwiek co do utworu Szaniawskiego można mieć pewne zastrzeżenia, śmiało jednak powiedzieć można, iż to, co pokazali oboje Goście, to nie było „robotą“ aktorską, ale pełnym wczuciem się w intencye autora.

„Fircyka w zalotach“ widział podpisany w „Reducie“, dlatego naprzód może sąd swój wydać. Przypuszczamy, że całość przedstawienia nie odbiegnie od poziomu przedstawienia w „Reducie“, jakkolwiek teatr ten ma swój specyalny charakter, nastrój, zmuszający do skupienia uwagi widza, aż do najdrobniejszych szczegółów. „Fircyk w zalotach“ opracowany przez Osterwę, jest nie tylko świadectwem pracy i przemyśleń artystycznych, ale dowodem stworzenia już w Polsce teatru, gdzie zamierzenia artystyczne nie pozostają pustą frazeologią, tanią reklamiarską fanfaronadą, ale są urzeczywistnione. P. Wanda Osterwina jest jedną z tych partnerek Osterwy, której talent o szerokiej skali rozwija się coraz więcej. Ostatnio p. Osterwina święciła tryumfy w „Turoniu“ Żeromskiego. Zaznaczyć należy, iż „Reduta“ dzięki Osterwie i Limanowskiemu doznaje obecnie wydatniejszego poparcia ze strony rządu, a przedewszystkiem prezydenta Wojciechowskiego, dla którego „Reduta“ b. często grywa w Łazienkach i Spale.

Ponadto „Reduta“ zaproszoną została na gościnne występy za granicę do Francyi i Anglii.

K. T.



Wyścigi cyklistów w Warszawie: Wyścigi o mistrzostwo województwa warszawskiego na przestrzeni 100 km. Na starcie.



Wyścigi cyklistów w Warszawie: Wielokrotny mistrz szosowy Zawadzki pierwszy przybywa do mety, osiągając czas 3 godz. 38 min. na dystansie 100 km.



Sztuczny piorun: Doświadczenia z prądem o napięciu 2.000.000 volt, który wyładowując się w iskrze zamienia w proch i popiół sztuczną wioskę naturalnej wielkości specyalnie zbudowaną dla tego doświadczenia.

Wybory tureckie.

(Do illustracyi na str. 4).

Naczelny wódz i dyktator Turcyi, który ocalił ją od upokarzających warunków pokoju w Sevres, Mustafa Kemal basza postanowił oprzeć swą władzę na legalnej parlamentarnej podstawie. Ponieważ dotychczasowy prowizoryczny Sejm turecki, Zgromadzenie Narodowe w Angorze składało się z niedobitków dawnego parlamentu wojennego i rozbite było na zbyt wiele kłócących się ze sobą frakcyi — Mustafa Kemal basza zarządził nowe wybory i sam do akcyi wyborczej wystąpił. Postanowił on stworzyć własne stronnictwo i z niem pójść do wyborów. Udało mu się to świetnie. Sam został niemal jednogłośnie wybrany w Smyrnie, którą odebrał Grekom, — a w całej Turcyi stronnictwo jego zdobyło olbrzymią większość mandatów. Pomiędzy nowymi posłami kemalistycznemi znajduje się również żona Kemala baszy — Latifehanum, pierwsza kobieta posłanka w Turcyi.

Teraz Kemal basza będzie mógł sprężyście sprawować swą dyktatorską władzę, choćby nawet wyglądała ona nazewnątrz jako zwykła konstytucyjno-parlamentarna prezydentura Republiki Tureckiej. Parlament bowiem będzie tylko współpracował z nim i ułatwiał rządy, ponieważ dzięki swemu składowi mieć będzie prawie charakter rady naczelnej stronnictwa kemalistycznego i rady przybocznej złożonej z przyjaciół i zwolenników dyktatora.

Los zdetronizowanego „Syna Nieba".

Dziwnym krajem są Chiny, dziwnym i niezrozumiałym dla Europejczyka. Gdy w Europie zwycięży w jakim kraju rewolucja to przedewszystkiem wypędza z kraju obalonego monarchę, słusznie obawiając się kontrrewolucyjnych knowań i intryg z jego strony. W republikach Środkowo-amerykańskich: Meksyku, Guatemali czy Hondurasie dzieje się jeszcze radykalniej. Tam w razie zwycięskiej rewolucyi (a zdarzają się one co kilka lat) zwycięzcy uważają za pierwsze swe zadanie gruntownie unieszkodliwić obalonego prezydenta i poprostu rozstrzeliwują go.

W Chinach jest całkiem inaczej. Przed dwunastu laty dokonała się tam rewolucya. Cesarza, który miał wtedy lat 5, pozbawiono władzy — ale ani odebrano mu życia, ani nie wygnano z kraju, ani nawet nie odebrano mu dawnego pałacu „Synów Nieba" (taki tytuł, który zresztą pozostawiono zdetronizowanemu monarsze, noszą cesarze Chin).

Są więc Chiny republiką, która ma także i swego tytularnego czy honorowego (bo bez żadnej władzy) cesarza. W republice chińskiej, czyli w dawnem państwie Środka — niezbyt dobrze się dzieje i niema zbyt wielkiego porządku. Różni jenerał-gubernatorowie rządzą według swego widzimisię opierając się na zbrojnych oddziałach wojsk, które żyją z rabunku. Na północy włada potężny gubernator Mandżuryi Wu-Pei-Fu, na południu niemniej groźny marszałek Tszang-Tsu-Lin, nie licząc wielu pomniejszych. W Kantonie rezyduje prezydent republiki dr. Sun-Jat-Sen, który zresztą tyleż ma władzy w republice — co i cesarz. Nikt go bowiem nie słucha. Oficyalny rząd republikański urzęduje w Pekinie, ale i ten rząd jest tylko cieniem rządu — słucha bowiem rozkazów albo jenerała Wu-Pei-Fu albo marszałka Tszang-Tsu-Lina, — zależnie od tego który z nich podejdzie bliżej do Pekinu ze swą „armią". Rząd pekiński robi więc to, czego chce najbliższy i najgroźniejszy jenerał, jeżeli ten rząd wogóle coś robi, bo jak ostatnio depesze doniosły — minister skarbu Republiki chińskiej podał się do dymisyi, oświadczając, że nie ma czem rządzić, ponieważ skarbiec państwa nie zawiera złamanego taela.



Idylla zwierzęca: Suka, której młode zdechły bezpośrednio po urodzeniu karmi 5-ro prosiąt, których matka zdechła w tym samym czasie.

Otóż w tym dziwnym państwie, w którem każda władza jest tylko fikcyą i cieniem władzy, cesarz, Syn Nieba. J. C. M. Suen Tang, — zamieszkuje w swych pałacach wspaniałych, tworzących t. zw. „Zakazane Miasto". Ma on setki i tysiące sług, ma wspaniałe ogrody po których się przechadza, jest niepodzielnym panem wewnątrz pałacu swego, a zresztą cieszy się żywą czcią swych zrewoltowanych byłych poddanych a obecnie współobywateli. Jak dalece republikanizm chinczyków jest tolerancyjny dowodzą fakty i ceremonie związane z zaręczynami i małżeństwem ex-cesarza, ktory skończył już lat 17 i postanowił (zapewne z nudów) wstąpić w związki małżeńskie. Ceremoniał chiński wymaga, by narzeczony przesłał narzeczonej odpowiednie dary. Uczyniono mu zadość a rząd republikański dostarczył kompanii wojska, która, jako eskorta honorowa odprowadziła 12 palankinów okrytych żółtym jedwabiem — do pałacu cesarskiej narzeczonej i zaciągnęła przed nim wartę honorową. W pochodzie wzięły udział obok siebie gwardya republikańska, gwardya cesarska (bo i ta istnieje) — orkiestry zaś wojskowe grały naprzemian hymn cesarski, hymn rewolucyjny, republikański i... kawałki z operetek i piosenek kabaretowych europejskich. Oto — tolerancya chińska!

Sztuczny piorun o straszliwej sile.

Pod względem technicznym Europa nawet nie może równać się z Ameryką, która dokonuje rzeczy imponujących swą potęgą i sięgających niemal granicy cudu. Oto ostatnio w olbrzymich zakładach elektrycznych w Pittsfield zdołano wytworzyć przy doświadczeniach tak wielką siłą prądu elektrycznego o jakiej do dziś w Europie nikt zamarzyć nie może. Prąd ten przy napięciu 2 milionów Volt osiągał potęgę równą najstraszliwszemu piorunowi. Aby wypróbować działanie tego prądu zbudowano sztuczną wioskę z kilku domami i budynkiem kościoła i doprowadzono do wyładowania się napięcia. Wybuch był tak potężny, że cała ta sztuczna wioska w okamgnieniu zamieniona została w popiół i pył. Wynalazcą aparatów, dających prąd o tym olbrzymim napięciu jest Włoch, nazwiskiem Faccioli. Sądzi on, że przy pomocy swych sztucznych piorunów będzie mógł odtwarzać procesy które w naturze tysiące lat trwały, a więc sądzi naprzykład; że będzie mógł wytwarzać sztucznie węgiel i dyamenty.

35 lat po maturze.

Ci którzy w r. 1888 zdali maturę w gimnazyum t. zw. Bernardyńskiem we Lwowie, obchodzili dnia dziewiątego z. m. uroczyście tę rocznicę. Piękny i wzruszający był widok, jak katecheta z przed 35 laty, dziś prałat, ks. T. Wiśniowski w towarzystwie radcy szkolnego Skupniewicza, ówczesnego profesora, prowadził swych dawnych uczniów parami ze szkoły do kościoła Bernardynów na nabożeństwo. Mszę jak przed laty odprawił zacny ten katecheta, a do mszy służyli dawni jego uczniowie. Po nabożeństwie wrócili uczestnicy zjazdu (wśód nich jenerał Rogalski b. szef sanitarny Leg.) do klasy szkolnej, zasiedli jak ongiś w ławkach, a prof. Skupniewicz odczytał katalog. Niestety wielu już przy wywoływaniu nazwisk się nie odezwało, bo nielitościwa śmierć ich przedwcześnie zabrała!



35 lat po maturze: Grupa uczestników Zjazdu koleżeńskiego: w środku ówczesny katecheta dziś prałat ks. T. Wiśniowski, po prawej stronie b. szef sanitarny Legionów, jenerał Puch Rogalski.

Idylla zwierzęca.

Gazety wiedeńskie donoszą, że w b. miesiącu można było obserwować u oberżysty Wakonigga w Eibiswaldzie (w Styryi) oryginalną idyllą zwierzęcą. Suka oberżysty, której młode zdechły zaraz po urodzeniu się, przez cały dzień była smutna i wyła żałośliwie. Oberżysta wpadł wtedy na pomysł i zaprowadził ją do pięciorga prosiąt, których matka padła tegoż dnia przy pomiocie. I suka z prawdziwie macierzyńskim uczuciem zaopiekowała się prosiętami sierotami. Karmiła je i troszczyła się o nie, jak o własne szczeniaki... Prosiaczki rozwijały się znakomicie na psiem mleku, a suka-macocha (o ileż lepsza od wielu macoch wśród ludzi) starała się rzeczywiście matkę im zasłąpić. Strzegła prosięta i nie pozwalała się nikomu do nich zbliżyć, jakby to były jej dzieci naprawdę.

Naturalnie, że najwięcej rad z tej idylli był oberżysta.

ARTYŚCI W URZĘDACH.

O artystach mówiło się, że są „konikami polnemi" i nie lubią brać się do pracy użytecznej, mrówczej, n. p. w urzędach. Dziś czasy się zmieniły. Oto kilka rysunków, przedstawiających artystów jako urzędników:







1) Wybitny poeta X. z grupy Omal-nie-futurystów jako sekretarz ministra C. pisze referat o epidemii różycy wśród nierogacizny na obszarze Rzplitej. 2) Znany piosenkarz i autor kabaretowy jako sędzia śledczy odczytuje szefowi bezpieczeństwa raport o wynikach śledztwa w sprawie bomb w Krakowie i Warszawie.





3) Malarz-karykaturzysta jako sekretarz sądu konsystorskiego przedkłada sądowi referat z własnemi illustracyami o sprawie rozwodowej z powodu wiarołomstwa małżonków. 4) Ceniony pianista jako stenotypista w M. S. Z. przepisując na maszynie tekst noty do min. Benesza wpada w „Rapsodyę węgierską" Liszta.

KONKURS NAJPIĘKNIEJSZYCH KOBIET W POLSCE






Zofia Koziorówna (Drohobycz).



Marya Domańska (Inowrocław).





Helena Okolska (Lublin).

Konkurs najpiękniejszych kobiet w Polsce

Upoważniam Redakcyę „Nowości Illustrowanych" do zamieszczenia mojej fotografii w dziale konkursowym

(Własnoręczny podpis): ....

Dokładny adres: Imię i nazwisko (wyraźnie) ....

Miasto (ostatnia stacya pocztowa) ....

Ulica .... Nr. ....

OGŁOSZENIA

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor: Dr. Witold Lipiński

Klisze własnego zakładu. Druk. D. E. Friedleina.